



# Cynthia

zanim oდედę

**NATALIA FROMUTH**

be  
YA!

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Opieka redakcyjna: Barbara Lepionka

Redakcja: Elżbieta Woźniak

Korekta: Anna Skóra

Projekt okładki: Justyna Sieprawska

Ilustracje wewnątrz książki: Gracjan Szewczyk

Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: [kontakt@beya.pl](mailto:kontakt@beya.pl)

WWW: <https://beya.pl>

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<https://beya.pl/user/opinie/cynthi>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-289-0737-9

Copyright © Helion S.A. 2024

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność



## PROLOG

Finn nigdy nie czuł się wyjątkowy ani szczególnie udany i był pewien, że każdy ma o nim takie zdanie. Szczególnie jeśli poznał jego rodzinę.

Rodzina Wardów zapowiadała się doskonale. Zaraz po tym, gdy dwoje profesorów najlepszej akademii muzycznej w Nowym Jorku zaczęło być ze sobą, niemal wszyscy wróżyli im wspaniałą wspólną przyszłość. Z zachwytem przysłuchiwano się plotkom na temat ich pokryjomych randek, z uśmiechem patrzono na nich jako parę, aż wreszcie hucznie świętowano ślub. Połączone tym wydarzeniem rodziny Marbell i Jonasa Wardów już na weselu przepowiadały im udany i przede wszystkim dożgonny związek, który przetrwa każdą burzę. Byli przecież idealnie dobrani, a ich charaktery dopasowały się do siebie niczym precyzyjnie ułożone puzzle. Marbell i Jonas dla wielu, którzy patrzyli na nich z boku, byli definicją perfekcyjnego małżeństwa, o jakim każdy marzył.

Gdy Marbell zaszła w ciążę, była przekonana, że synowie, których miała wydać na świat, będą ideałami. Codziennie wraz z mężem snuła wizje ich świetlanej przyszłości, którą oboje, jako rodzice, mogli zapewnić swoim dzieciom. Była pewna, że wychowa dwóch aniołów – czy też najwybitniejszych muzyków, których legenda rozniesie się po Nowym Jorku i poza nim.

Właśnie taki był Arlen, urodzony jako pierwszy, chłopiec o jasnej cerze i platynowych włosach. Z darem do gry na instrumentach smyczkowych. Uosabiał wszystko, o czym marzyli jego rodzice. Nigdy nie sprawiał problemów wychowawczych, był otwarty na innych ludzi i miał charyzmę, którą ich do siebie przyciągał. Czysta słodycz. Od dziecka wróźono mu karierę wirtuoza lub dyrygenta, a on, szczęśliwy, przytakiwał.

Za to Finneasowi, drugiemu z bliźniaków, nie przepowiadało równie udanej przyszłości. On, jak uważały wszystkie ciotki, nie był grzecznym dzieckiem. Sam mówił o sobie, że wyczerpał wszelkie limity perfekcyjności swojej rodziny. Jako jedyny z Wardów nie miał blond włosów, tylko czarne jak smoła. Podobnie jak oczy, których również nie odziedziczył ani po ojcu, ani po matce. Odstawał także charakterem, przez który w czasach szkolnych często wdawał się w bójkę i ledwo zaliczał kolejne klasy. Chodził własnymi ścieżkami, zamiast podążać w kierunku wskazanym przez rodziców, buntował się i bez oporów głośno wyrażał, co mu się nie podoba.

Był rozczarowaniem i doskonale o tym wiedział. Od małego.

A to dlatego, że ze wszystkich rzeczy na świecie najbardziej nie cierpiał muzyki.

Choć nieraz mu się zdawało, że nie tylko do muzyki, ale i do całej reszty świata żywi nienawiść. Jakby zamiast do dźwięków i instrumentów otrzymał od losu talent do pesymizmu.

Mógł mieć wszystko, co tylko sobie wymarzył. Karta kredytowa rodziców zdawała się kochać go bardziej niż oni sami. I rzeczywiście, Finn miał wszystko – nosił najmodniejsze ubrania, chodził do prestiżowej prywatnej szkoły, mógł korzystać z zajęć dodatkowych, jakiegokolwiek sobie wymyślił. Nie brakowało mu znajomych, a na wakacje wyjeżdżał do tropikalnych krajów, gdzie od rana do wieczora leżał na plaży i prażył się na słońcu.

Nie miał jednego – szczęścia. I był więcej niż pewien, że nigdy go nie doświadczy. Finn nigdzie nie pasował. Nie było mu do twarzy nawet z własnym nazwiskiem.

*Podobnie myślała o sobie Cynthia.*



## ROZDZIAŁ 1

# Zielone oczy

Finn każdego poranka budził się z widokiem różowego nieba, po którym słońce mozolnie wspinało się nad wieżowce Manhattanu. W jego życiu nie było zbyt wielu rzeczy, nad którymi miałby ochotę się dłużej zatrzymać. Żył szybko i według schematu, tak było prościej. Uważał, że jeśli nie będzie zbaczał z toru, uchroni go to przed pechem, na który, jak sądził, był skazany.

W niebie, które witało go każdego dnia za oknem, odnalazł coś, co sprawiało, że chciałby na nie patrzeć w nieskończoność. Gdyby mógł, zatraciłby się w tym widoku na całe lata, poświęciłby każdy dzień i przepuścił noc. Wszystko dla tego *spokoju*, który kołł jego pełne mroku serce i wyciszał czarne myśli. Jednak nie mógł.

Nie mógł tak po prostu się zatrzymać i ugrząźć tu na zawsze.

Oderwał wzrok od różowiejącego nieba i wpadł od razu w szarą rzeczywistość. Może to ten pokój, w którym budził się co rano, wpędzał go w ponury nastrój... Ściany, owszem, miały jasny kolor, ale niemal każdy mebel, który ustawiono na ich tle, był czarny. Czarne były też pościel i lampka nocna, przy poduszce leżała ciemna pluszowa zabawka z dzieciństwa, otwarta szafa ziała niemającą dna czarną dziurą. Więcej – czarny był również sufit. Wszyscy uważali, że ta ponura kolorystyka źle wpływa na Finna, każdy, kto go poznał, nie miał co do tego wątpliwości. Nawet kiedy

ten ubrany na czarno chłopak się odzywał, jego głos wydawał się pozbawiony jasnej barwy.

Dokładnie tak go widziano – jako młodego człowieka z mrocznym charakterem, kogoś, komu lepiej nie wchodzić w drogę. Jakby ciągnęła się za nim ciemna burzowa chmura, która ciskała gromy i wciąż siekała deszczem. I nikt, absolutnie nikt nie chciał pod nią trafić.

Nikt też nie wiedział, że to nie czarny kolor, dominujący w pokoju i w stroju Finna, był powodem, że chłopak od rana chodził przygnębiony. To dom, w którym się budził. Miejsce, które – choć było przepięknym apartamentem w sercu atrakcyjnej dzielnicy, tuż przy Central Parku – od pewnego czasu robiło się coraz bardziej... puste.

Pośrodku ogromnej kuchni zastał matkę. Marbell w jedwabnym szlafroku i turbanie z ręcznika na głowie krzątała się przy blacie. Powitała syna krótkim spojrzeniem, poczekała, aż usiadł na wysokim stołku, i zaczęła od sprawy, która od dłuższego czasu zaprzętała jej myśli.

– Wyrzucili cię z lekcji klarnetu – powiedziała ze spokojem, choć Finn doskonale wiedział, że mimo pogodnego wyrazu twarzy jego matka znów jest rozczarowana.

Wzruszył ramionami, tylko tyle mógł w tej chwili zrobić. Przerabiał to już setki razy. Każda tak rozpoczęta rozmowa kończyła się w podobny sposób.

– Bardzo dobrze. Były do dupy.

– Ej, wyrażaj się! – Marbell pogroziła synowi i po chwili skrzyżowała ręce na piersi. – Zamierzasz do końca życia robić mi na złość, Finneas? Przecież wiesz, że chcę jedynie twojego dobra. Dałeś chociaż szansę temu klarnetowi? To piękny instrument.

Chłopak oparł głowę na pięści i westchnął cicho. Kolejny poranek, w który obejdzie się bez śniadania. Wystarczyło, że matka

znów próbowała, bezskutecznie, zmusić go do muzyki, aby zrobiło mu się niedobrze.

– Przecież powiedziałem, że był do dupy.

Prawdę mówiąc, nie dał mu szansy. Od kiedy rozwinęła się jego samoświadomość, co nastąpiło w dzieciństwie, nie trwoniał uwagi, jeśli chodziło o to, co wciskali mu rodzice. Zawsze pchali go w stronę muzyki, choć znali się na niej jak nikt i powinni byli się zorientować, że to nie dla niego. Przerobił już chyba wszystko, poznał podstawy gry bodaj na każdym instrumencie. Nie było takiego, z którym by się zaprzyjaźnił.

Codziennie te beznadziejne dźwięki, szarpanie strun, dmuchanie w ustniki. Miał wrażenie, że każdego dnia jest bliższy szaleństwa.

*Nienawidził muzyki całym swoim zepsutym sercem.*

– Może zacznę cię rozumieć, gdy ty zaczniesz używać odpowiedniego języka. – Marbell z poirytowaniem przyłożyła dłoń do swojego czoła i wzięła kilka głębokich oddechów. – Jeśli zechcesz, profesor z mojej uczelni nauczy cię lepiej grać na perkusji. Chcesz? Chyba nawet ją lubiłeś, o ile dobrze pamiętam.

– Nie lubię grać na instrumentach! – odpowiedział Finn ze złością. Uświadomił sobie, że wypowiadał to zdanie stanowczo za często. – Ile razy jeszcze muszę powtórzyć, że nienawidzę muzyki, żebyś wreszcie wzięła sobie to do serca, mamó? Nie interesują mnie żadne instrumenty.

Rysy twarzy kobiety zdecydowanie się wyostrzyły.

– W takim razie co cię interesuje? – spytała wprost, a jej wzrok przeszył Finna chłodem.

Tego pytania nie znosił równie mocno jak muzyki. Zdarta płyta, niekończąca się melodia wybrzmiewająca w jego głowie i doprowadzająca go do granic wytrzymałości.

Przełknął z trudem ślinę i odparł:



– Nic.

– Ooo, no jasne. Za każdym razem to samo. Miałam nadzieję, że choć trochę dojrzałeś. – Marbell spojrzała na syna spod zmrużonych powiek. – Jesteś niewdzięczny.

To kwitujące jego stosunek do muzyki zdanie również słyszał całkiem często.

– Dlaczego tym razem? – parsknął. – Bo nie chcę robić tego, do czego próbujesz mnie zmusić?

– Bo nie chcesz robić absolutnie niczego! – uniosła się i znów oddychała głęboko, próbując opanować nerwy. – Mogę cię zapisać na lekcje czegokolwiek, Finneas, po prostu mi powiedz, co cię interesuje. Ale nie! Zamiast się rozwijać i korzystać z tego, że jesteś w uprzywilejowanej sytuacji, że masz szansę na dobrą przyszłość, wolisz... lenić się i gapić przez całe dni w telefon!

– Czy to naprawdę takie cholernie złe, że niczym się nie interesuję?

Próbował wszystkiego. Każdego instrumentu, każdego sportu, każdej możliwości, jaką dostał od życia. Nic nie przyniosło mu tego, czego szukał. Pogodził się z tym. Widać nic nie było mu pisane. Nic.

– Tak – odparła bez cienia wysiłku matka. – Gniesz, dziecko.

Marbell odpuściła sobie dalszą walkę z synem, czuła, że mogliby tak w nieskończoność, zawsze bez skutku. Mimo wszystko wierzyła, że być może właśnie tego dnia, właśnie dzisiaj, jej syn obudzi się całkiem inny. Miała nadzieję, że przyjdzie do niej i przyzna, że chciałby pójść śladami brata bliźniaka. Pozwoli jej wpisać swoje nazwisko na kolejną lekcję klarnetu i wreszcie się do niej uśmiechnie. Na razie jednak wszelkie próby kończyły się podobnie. Każde ruszało w swoją stronę, do swoich spraw.

Finn został sam w wielkiej, pustej kuchni. Spoglądał na zegarek, odliczając minuty do wyjścia do szkoły. Starał się zachować obojętny wyraz twarzy. Dawno przestało go interesować zdanie

innych, dlatego pozostawał niewzruszony, gdy matka po raz kolejny nazywała go gnijącym, leniwym albo zmarnowanym dzieckiem. Nie obchodziło go to, przecież właśnie taki był, taki czuł się najlepiej. Było mu dobrze w tych ciuchach, w ciszy, jaka go otaczała, w towarzystwie włączonej komórki, w którą się wgapił. Dlaczego miałby się przejmować opinią kogoś, kto nigdy nie był w jego skórze?

To on był jej mieszkańcem.



Było jeszcze dość wcześnie, gdy Finn zjeżdżał windą na parter. W ciągu tych kilkunastu sekund, które w niej spędzał, unikał patrzenia w lustro. Choć lubił spać i temu poświęcał większość wolnego czasu, jakby długimi drzemkami mógł się wyleczyć ze wszystkiego, co go dręczyło, jego oczy wyglądały na wiecznie niewyspane. Grube cienie na dolnych powiekach odstraszały każdego, kto na niego spojrzał.

Kiedy drzwi windy się otworzyły, chłopak wziął głęboki oddech i ruszył tam, gdzie rozpoczynał się jego każdy dzień – na przystanek metra.

Zdążył zaledwie postawić krok na chodniku, gdy usłyszał głośny okrzyk.

– Bu!

Finn ani drgnął. Zatrzymał się tylko w miejscu, westchnął i spojrzał w bok, gdzie jaśniała roześmiana twarz jego starszego o kilka minut brata. Arlen zobaczył, że Finn nie robi sobie absolutnie nic z jego starań, i momentalnie zgasił swój uśmiech, by zastąpić go grymasem niezadowolenia.

– Ej, czemu ty nigdy nie dasz się wystraszyć, co?! – parsknął z udawaną złością.

– Daj sobie wreszcie spokój, Arlen. Może kiedyś jakoś bym zareagował, gdybyś nie robił tego... no nie wiem... codziennie?

Ruszył przed siebie. Arlen zaraz go dogonił i próbował dostrzymać mu kroku.

– Dzisiaj też masz beznadziejny humor? – Zacisnął palce na szelkach skórzanego plecaka. – Słyszałem twoją kłótnię z mamą. Też byłbym zły, gdyby cały czas narzucała mi coś, czego nie lubię.

– Na szczęście nie masz tego problemu – odparł kąśliwie Finn i w głębi duszy od razu tego pożałował.

Arlen i Finn, choć byli braćmi, urodzili się tego samego dnia i przez większość życia dzielili ze sobą właściwie wszystko, nie potrafili znaleźć tego, co najważniejsze w braterskiej relacji – wspólnego języka. Większość ich rozmów kończyła się kłótnią. Finn roztrzaskiwał w drobny mak instrumenty Arlena, a ten zdierał ze ścian plakaty z ulubionych filmów brata.

Ostatnio jednak, od kiedy rodzice zdecydowali się rozstać, zdawało się, że obaj są dla siebie odrobinę miłsi.

Arlen wzruszył ramionami.

– Masz rację – przyznał cicho. – A próbowałaś śpiewać? – Posłał Finnowi ten nieznośny łobuzerski uśmiezek. – Pod prysznicem naprawdę dobrze sobie radzisz. Sąsiedzi z góry biją ci brawo, uderzając kijem od szczotki w podłogę, to wzruszające.

– Jeśli się nie zamkniesz, za moment będą zeszkrobywać cię z tych schodów. Nie żartuję – pogroził bratu Finn dokładnie w momencie, kiedy obaj stanęli u szczytu schodów prowadzących do stacji 57th Street.

– Jesteś tak drętwy, że to aż niebywałe.

Po chwili stali na peronie w metrze – jak co dzień, w tłumie ludzi, w który łatwo się wmieszać. Każdy wpatrzony w komórkę albo książkę, nikt nie zwracał uwagi na otoczenie. Od czasu do czasu tylko kogoś interesowało, za ile minut przyjedzie pociąg,

i unosił wzrok. Nowojorczycy... Każdy w kokonie nieczułości, zajęty sobą, niechętny do rozmowy, niepatrzący na innych, nieciekawym tego, co wokół, kto stoi obok, jak jest ubrany ani co czuje. Ma pogodny wyraz twarzy czy przeciwnie.

Nikt nie zwracał uwagi na rudowłosą dziewczynę ze skrzypcami, która grą starała się umilić im oczekiwanie na pociąg. Nikogo nie obchodziły jej skupiona twarz ani przymknięte oczy, kiedy palcami przyciskała odpowiednie struny, a smyczek sunął po nich z perfekcją. W futerale błyskało ledwie parę monet.

Nikt nie patrzył na dziewczynę poza Finnem. On jako jedyny spośród nieprzebranego tłumu, którego był częścią, spoglądał w jej stronę.

– Opóźniony – powiedział głośno Arlen, próbując skupić na sobie uwagę brata. – Słyszysz?! – krzyknął, gdy zauważył, że Finn ma go gdzieś.

Dopiero gdy powtórzył pytanie, Finn oderwał wzrok od skrzypczki i spojrzał na bliźniaka.

– To irytujące – powiedział, marszcząc brwi.

– Co? Ta gra? – Arlen popatrzył w bok, przez moment obserwował dziewczynę, analizując jej grę.

Finn dawno zauważył, jak bardzo Arlen jest podobny do matki, kiedy próbuje oceniać czyjąś grę. Oboje robili tę irytującą minę, której nie znosił. Dobrze, że nie interesował się muzyką, przynajmniej nie musiał być obiektem ich ocen i oglądać tego wyrazu twarzy.

– Gra dobrze, trafia we wszystkie dźwięki – zauważył Arlen. – Jesteś zbyt dramatyczny.

Chłopak dobrze wiedział, że rudowłosa dziewczyna grała perfekcyjnie. Był obyty z każdym instrumentem, znał podstawy gry na skrzypcach na tyle, że śmiało mógł ocenić jej występ. Mimo to wcale tego nie chciał. Nie znosił muzyki w każdym calu, niez-

leżnie od tego, skąd dochodziła. Mogła brzmieć idealnie, budzić emocje, chwycić za serce albo być po prostu znanym przebojem. To nie miało znaczenia – jakakolwiek by była, Finn i tak jej nie znosił. Dawała mu jedynie powód do złości. I dzisiaj nie było wyjątku.

– To nie jest miejsce na granie. Jest irytująca.

– Cóż, to tylko twoje zdanie. Na szczęście nikogo nie interesuje – odparł Arlen, gdy obaj zobaczyli, że ktoś właśnie wrzucił banknot do futerału dziewczyny.

Gdyby tego dnia w Nowym Jorku nie spadł śnieg, dawno by siedzieli w wagonie. Byliby w drodze do szkoły i mogliby się skupić na czymś innym. Zamiast tego tkwili na stacji, w gęstniejącym tłumie, który niepostrzeżenie przesuwiał ich coraz bliżej skrzyżpaczki. Arlen stał od dawna zainteresowany bardziej swoim telefonem niż muzyką dobiegającą do jego prawego ucha, Finn jednak nie potrafił się skupić na niczym innym poza irytującą go grą. Co chwilę spoglądał w tamtą stronę i brał głębokie wdechy, starając się uspokoić. Dopiero gdy, niesiony falą tłumy, stopami prawie dotknął futerału rudowłosej dziewczyny, przestał na nią patrzeć. Mijały minuty i Finn wreszcie dał się ponieść melodii, którą grała.

Ucichły dźwięki ostatniego utworu, a Finn poczuł dziwną pustkę. W metrze zapadła cisza. Osobliwa, niecodzienna cisza.

Gdy znowu popatrzył na dziewczynę, ta, schylona nad futerałem, wybierała z niego monety, które zaraz wcisnęła do kieszeni za dużej bluzy. Kiedy skończyła, ułożyła w nim swój instrument. Uniosła brodę, a jej wzrok skrzyżował się ze spojrzeniem Finna.

*Zielone wpadające w brąz* – niespodziewanie wybrzmiało w myślach zazwyczaj obojętnego na innych Finna chwilę przed tym, jak tłum pchnął go do przodu.

Chłopak stracił równowagę, a szukając gruntu, postawił nogę na skrzypcach rudej dziewczyny. Czuł, jak pod stopą zostaje wyraźne wgniecenie.

*Piekielny pech.*

– Co ty robisz, do cholery?! – wrzasnęła i próbowała zepchnąć chłopaka, który opierał nogę na jej instrumencie.

Finn otworzył usta, a w sercu poczuł coś, co gościło w nim bardzo rzadko. Nawet nie potrafił tego uczucia nazwać.

– To nie moja wina, ja...

– Zniszczyłeś... – Uklękła przed skrzypcami i przejechała palcem po wgnieceniu. Jej policzki poczerwieniały, twarz wręcz płonęła z wściekłości. – Jesteś z siebie dumny?!

Finn momentalnie wyrwał z serca to, co jeszcze przed sekundą w nim kiełkowało. Teraz czuł jedynie złość, zacisnął mocno pięści. Patrzył na rudą i już miał odpowiedzieć, ale ugryzł się w język. Na szczęście na peron wjechał wreszcie pociąg.

– Jestem cholernie dumny – prychnął. – To nie jest miejsce na koncerty skrzypcowe. Uwierz mi, nikt tutaj nie chciał słuchać twojego irytującego grania.

Otrzepał swoje ubranie jak gdyby nigdy nic. Jakby wcale nie czuł gorzkiego posmaku na języku, a poczucie winy nie piekło go od środka.

– Co za dupek! – Dziewczyna otworzyła usta, by za moment mocno przygryźć wargi. – Wystarczy schować swoją cholerną dumę do kieszeni i po prostu przeprosić. Czy to takie trudne? – dodała jeszcze.

– Tak samo trudne jak wydedukowanie, że metro nie jest miejscem dla koncertujących skrzypaczek – odparł kąśliwym, choć spokojnym tonem i wsunął dłonie do kieszeni skórzanej kurtki.

– Idiota – prychnęła. – Zejdź mi z oczu! – wykrzyczała, gdy po raz ostatni spojrzeli na siebie, każde naładowane złością.

Nie zamierzał czekać ze spełnieniem jej życzenia. Zresztą brat zaraz pociągnął go za rękaw, zdeterminowany, by wepchnąć się do pociągu razem z napierającym na wejście do wagonu tłumem.

Byle nie spóźnić się do szkoły, Arlen miał dzisiaj sporo zajęć, których nie mógł sobie odpuścić.

Finnowi za to znów wszystko zobojętniało. Mógł równie dobrze utknąć tu na zawsze, do końca życia słuchać obelg, którymi obrzucałaby go tamta dziewczyna. Nie przejąłby się żadną. Tak samo jak nie przejmował się spóźnieniem do szkoły. Nic go nie interesowało. Nic.

Drzwi pociągu się zamknęły i wtedy Finn ostatni raz rzucił okiem na rudowłosą dziewczynę rozpaczającą nad skrzypcami. Powróciło to samo nieznane mu uczucie. Ciemność w tunelu metra sprawiła, że w szybie drzwi, do których przyciskał go tłum, dojrzał swoje odbicie. Dopiero wtedy, gdy spojrział sobie prosto w oczy, zrozumiał, że tym, co dręczyło jego serce i zajęło mu głowę, były *wyrzuty sumienia*.

Tego dnia w Nowym Jorku, kiedy jego mieszkańców zaskoczył nieprzyjemny atak zimy, Finneasa Warda zdumiało coś zupełnie innego.

Chłopakowi zdarzało się skrzywdzić innych i zazwyczaj nic sobie z tego nie robił; był taki jak całe to miasto – zapatrzony w siebie, oschły i zwykle ponury. Tego ranka pierwszy raz poczuł się inaczej, a to, co zrobił rudej dziewczynie z metra, dręczyło go przez kilka następnych dni. I nawet sen go z tego stanu nie wyleczył.

*Zielone wpadające w brąz... To jej oczy sprawiły, że Finn cierpiał z powodu tego, jaki był.*



## ROZDZIAŁ 2

# Druga szansa

Finn zawiódł wiele razy. Często sprawiał innym przykrość. Pamiętał łzy rówieśników, z którymi sprzeczał się w podstawówce. Doskonale znał grymas rozczarowania, jaki pojawiał się na twarzy matki, i zirytowany głos ojca. Nigdy jednak nie czuł się z tego powodu źle. Nie zdarzyło się dotąd, by choć trochę przejął się tym, co złego wyrządził drugiej osobie. Nie liczył się z uczuciami innych, bo sam niewiele czuł. Dlatego przypuszczał, że dziewczyna z metra, jak niespodziewanie się pojawiła, tak szybko zniknie. Jednak ona utkwiała mu w głowie, chłopak myślał o niej codziennie, od kiedy niefortunnie postawił stopę na jej skrzypcach.

Gdy wchodził na stację metra 57th Street, gdy słyszał ulicznych grajków, a nawet kiedy próbował usnąć, przewracając się z boku na bok – wtedy rudowłosa dziewczyna stawała mu przed oczami jak żywa, a on nie potrafił pozbyć się tego obrazu. Myślał wówczas tylko o niej i kompletnie nie rozumiał dlaczego.

Nienawidził muzyki, którą grała, a od koloru zielonego wołał czarny. Nigdy także nie interesowały go dziewczyny o tym typie urody. Zresztą nie interesował go absolutnie nikt. Dlaczego więc jego oczy decydowały za niego?

I dlaczego to akurat jego stopa musiała stanąć na jej skrzypcach? Tego Finn żałował najbardziej. Gdyby nie wyrządził krzyw-



dy rudej dziewczynie, nie doświadczałby tego okropnego ściskania w żołądku, kiedy tylko o niej myślał. Może gdyby zdążył ją przeprosić, nie rozglądałby się za nią w metrze? Może nigdy nie dopadłoby go to cholerne poczucie winy, a jej płonące ze złości spojrzenie nie zapadłoby mu w pamięć?

Tamtego styczniowego dnia, gdy śnieg zasypywał nowojorskie ulice, życie Finna miało wyglądać tak jak zawsze. Jego serce miało pozostać skamieniałe, takie jak dotychczas.

W idealnych czasach w każdą niedzielę rodzina Wardów jadła kolację w tej samej restauracji. Spędzali tam cały wieczór, długo delektując się posiłkiem i rozmawiając na rozmaite tematy. Od kiedy pomiędzy Marbell i Jonasem się nie układało, zwyczaj się zmienił – na kolację synowie chodzili z jednym z rodziców, na zmianę. W końcu wszystko się posypało, niedziela stała się kolejnym szarym dniem w kalendarzu. Finn spędzał ją na oglądaniu seriali i przeglądaniu internetu. Znienacka tradycja wróciła.

– Wyprostuj się, Finneas. Garbisz się – upomniała go matka, jadąc z synami windą, i pociągnęła usta ulubioną czerwoną szminką.

Finn wziął głęboki oddech i ściągnął łopatki. Choć kolacja z rodzicami zazwyczaj była dla niego mało istotnym wydarzeniem, tym razem szedł na nią z głową pełną pytań, które miał wielką ochotę z siebie wyrzucić. Nie był przekonany, że powrót do niedzielnych spotkań jest dobrym pomysłem, że to jest konieczne. Relacje w jego rodzinie to były gruzy, z których nie udało się na nowo postawić solidnego muru. Nic nie będzie już takie jak dawniej, więc czy ta szopka była im w ogóle potrzebna?

Spojrzał kątem oka na Arlena, który układał grzywkę przed lustrem w windzie. Na twarzy brata widniał wymuszony uśmiech. Był zestresowany, Finn poznał to od razu. Arlen zawsze się tak uśmiechał przed wyjściem na wielką scenę, kiedy miał grać koncert.

Drzwi windy otworzyły się na jednym z ostatnich pięter wieżowca. Finn znał tę restaurację doskonale i gdyby się postarał, mógłby każdy jej zakamarek odtworzyć z pamięci. Przypominała mu wielkie muzeum. Dookoła wisiały oprawione w złote ramy obrazy, ściany zdobiła sztukateria, a na stołach leżało mnóstwo sztućców, których funkcję zdarzało się Finnowi błędnie odgadywać. Ciągłe na przykład mylił łyżeczkę do herbaty z tą do lodów. Krótko mówiąc, lokal wyglądał jak część pałacu. Tak, rodzice uwielbiali przepych i kiedy mogli, wyraźnie zaznaczali swoją pozycję społeczną.

Chociaż w jego odczuciu byli poniżej przeciętnej. Pieniądze zaślepiały im umysł.

Finn dostrzegł ojca siedzącego przy jednym ze stołów. Ten na widok synów i byłej żony wstał energicznie z krzesła i przycisnął do piersi bukiet białych róż.

– Cześć, chłopaki – przywitał się krótko z synami, po czym z wyraźnym napięciem spojrzął na Marbell i wręczył jej kwiaty. Zawahał się, niepewny, czy pocałować ją w policzek na przywitaniu. Zamiast tego powiedział: – Witaj, Marbell. To dla ciebie. Wyraz wdzięczności za to, że zgodziłaś się spróbować odnowić naszą relację.

Finn przewrócił oczami. Nie mógł patrzeć na tę krępującą sytuację. Jedyne, o czym marzył, to rzucić się na pucharek lodów.

Marbell przyjęła róże od Jonasa i skinęła głową.

– Dziękuję, Jonas, ale nie musiałeś się trudzić. W końcu robimy to dla naszych dzieci, a nie po to, żebyśmy się ze sobą zeszli. – Parsknęła na koniec śmiechem.

Ojciec podrapał się nerwowo po głowie, po czym odsunął jej krzesło.

– Absolutnie nie miałem takich zamiarów. To tylko miły gest, nic zobowiązującego, moja droga. – Jonas w porę ugryzł się w ję-

zyk, po czym zasiadł do stołu. – Chłopaki, jak tam w szkole? – Najpierw spojrzął na Arlena.

Zawsze chodziło im tylko o szkołę. Nie interesowało ich nic innego poza osiągnięciami bliźniaków. Finn był pewien, że gdyby przepytiał swojego ojca ze swoich ulubionych rzeczy, ten poległby już przy pytaniu o kolor.

– Wszystko gra – odparł Arlen, zaglądając w kartę z deserami.

– Och, nawet bardzo! – zaśmiała się perliście matka. – Nasz syn bez problemu otrzyma stypendium i dostanie się do Juilliarda.

Dłoń matki odnalazła palce ulubionego dziecka. Uścisnęła je radośnie.

– To wspaniale, Arlen, jesteśmy z ciebie bardzo dumni. Jestem pewien, że się tam odnajdziesz. Masz to w końcu po ojcu, prawda? – Trącił go w bok i roześmiał się głośno. – Rany, idziecie na studia. Ale ten czas zasuwa, przecież niedawno robiliście w pieluchy...

– Nie przy jedzeniu, Jonas.

– A ty, Finneas? – Ojciec zwrócił się do drugiego syna. – Gdzie złożyłeś papiery?

Finn oderwał wzrok od menu, którego nawet nie czytał, służyło mu jedynie do ukrywania się przed wzrokiem rodziców. Teraz musiał się z nim zmierzyć i znów powiedzieć im wprost, że nie jest kimś, kogo sobie wymarzyli.

– Nie wiem, losowałem. – Wzruszył ramionami, co zbiło ojca z tropu.

– Co to znaczy: losowałeś?

– No, napisałem na kartce nazwy paru uczelni, a potem...

– Nie żartuj sobie, dziecko – wtrąciła surowo Marbell, na co Finn ponownie się wyprostował. – Czy możesz w końcu zacząć brać życie na poważnie?

– Ale ja jestem poważny – rzucił obojętnie. – Potem wybrałem kilka losowych kierunków, wylosowałem karteczkę...

– Naprawdę mógłbyś spoważnieć, Finneas. To przestaje być zabawne, jesteś już dorosły – dodał ojciec pełnym zawodu głosem. – Spójrz tylko na Arlena. Wystarczy, żebyś wreszcie skupił się na jednym i... nie wiem... spróbował pójść w tę stronę. Zapisales się ostatnio na jakieś lekcje gry?

Finn westchnął ciężko, a obojętność, z którą dotąd odpowiadał na pytania ojca, zaczęła się zamieniać w złość.

– Nie będę udawał, że wiem, co chcę robić. To tylko studia. Nawet nie muszę iść na nie teraz. Mogę sobie zrobić rok przerwy albo nie iść na nie wca...

– Nie kończ – ucięła matka. – Nie chcę słyszeć ani słowa więcej.

Jego słowa były jak pocisk wymierzony prosto w rodzicielskie serca.

– Chyba sobie żartujesz, Finneas. – Ojciec patrzył na niego z taką pogardą, że chłopak był niemal pewien, że gdyby tylko nie trzymały go żadne hamulce, wykrzyczałby mu prosto w twarz, że uważa go za skończonego idiotę. – Jeśli dalej będziesz tak żył, to niczego nie osiągniesz. Chyba nie chcesz skończyć, będąc nikim, co?

*A co, jeśli właśnie tego chciał?*

Finn ugryzł się w język, chciał skończyć sprzeczkę z rodzicami. Zazwyczaj był niewzruszony, mogli sobie gadać, przywykł do tego. Codziennie przecież słyszał to samo. Nie denerwowało go wypominanie mu, jaki jest leniwy, niepoważny. Nie irytowało go nawet jego pełne imię, którego nie lubił. Była tylko jedna sprawa, która ostatnio wzbudzała w nim złość. On sam. Od jakiegoś czasu pieklił się na samego siebie.

*Dlaczego musiał urodzić się akurat taki? Może gdyby lubił tę głupią muzykę i nie cierpiał na lekcjach gry, na które zapisywała go matka, żyłoby mu się znacznie lepiej?*

Jednym z kluczowych powodów, dla których rodzina Wardów spotykała się w przypominającej pałac restauracji, była muzyka

grana na żywo od godziny szóstej wieczorem. Od piątej pięćdziesiąt Marbell, co chwilę zerkając na zegarek, odliczała minuty do występu. Kiedy chłopcy byli mali, zabierała ich tutaj i pokazywała świat, którego częścią, czego bardzo chciała, mieli kiedyś być. Wspominała swoje początki w podobnym miejscu, oceniała grajków i opowiadała o instrumentach, na których grali. Gdyby nie puchar lodów, Finn nienawidziłby godziny szóstej wieczorem bardziej niż którejkolwiek innej w ciągu dnia. Lody rekompensowały mu to podwójne cierpienie dla uszu.

Nie inaczej było teraz. Również o szóstej na scenę wyszło kilku muzyków i rozbrzmiał z niej początek jednego z klasycznych utworów. Finn był przygotowany na mękę, którą próbował załagodzić ulubionymi lodami. Usiłował skupić uwagę na czymś innym niż muzyka i rozmowa z rodzicami, do której nie chciał się przyłączyć. Jedyne, czego chciał, to zniknąć. Jak najszybciej.

Na początku grało pianino, dość żwawo rozpoczynając koncert. Marbell Ward aż podskoczyła na krześle, jak stwierdził Finn, zapewne od uwag, które wezbrały jej w głowie.

Po chwili do pianina dołączyły *skrzypce*.

Tym razem to Finn wzdrygnął się na ich dźwięk, czując, jak odraza miesza się z uczuciem ścisku w żołądku. Przypomniał sobie o dziewczynie, której instrument zniszczył, i znów poczuł to piekielne rozczarowanie sobą. Gdyby to była trąbka albo gdyby zagrał saksofon, zapewne nigdy nie podniósłby wzroku znad stołu i nie zainteresowałby się koncertem. To *skrzypce* sprawiły, że Finn z wolna uniół głowę i popatrzył na scenę.

A na niej zobaczył...

*Dziewczyna z metra.*

Poznał ją od razu, choć zaraz nabrał wątpliwości. Ta dziewczyna, owszem, miała delikatnie kręcone długie rude włosy, piegę na policzkach i zielone oczy, ale poza tym wyglądała zupełnie

inaczej. Nie miała na sobie za dużej bluzy, przybrudzonej czapki naciągniętej na czoło, spodni z dziurą na kolanie, a oczy nie były obwiedzione czarną kredką. Była ubrana elegancko, w długą fioletową suknię i buty na wysokim obcasie. Na powiekach połyskiwał perłowy cień.

Wpatrywał się w nią tak samo jak wtedy, w metrze. Tym razem jednak nic jej nie zagrażało. Jego nogi były daleko od skrzypiec, a usta miał jak zasznurowane.

– Boże drogi, ta dziewczyna ma fatalną technikę – wymamrotała pod nosem Marbell.

Finn poczuł, że gdyby nie lody czekoladowe zaklejające mu usta, powiedziałby o słowo za dużo. Nienawidził muzyki i najchętniej wyrwałby sobie uszy na jej dźwięk, mimo to znał się na niej na tyle, by stwierdzić, że dziewczyna gra bezbłędnie.

– Nie jest tak źle, Marbell – wtrącił, choć z zawahaniem, ojciec. – To młoda dziewczyna, widać po niej, że jeszcze jest amatorką. Nie bądź wobec niej surowa.

*Amatorką? To jakiś żart.*

– Jest dobrze – dodał ciszej Arlen, przyglądając się rudej dziewczynie. – Naprawdę, mam. Wiem, że lubisz się przyczepiać, ale w tej grze nie ma nic złego.

Marbell zachichotała cicho.

– Przyczepiać... – parsknęła. – Do ciebie nigdy nie mam zarzutów, kochanie. – Uśmiechnęła się do niego, na moment odrywawszy się od koncertu.

Jej drugi, ciemnowłosy syn wiele by dał, aby matka kiedykolwiek zwróciła się do niego choć w połowie tak słodkim i ciepłym tonem, jakiego używała wobec jego brata. Finn obserwował przez chwilę uśmiechy między rodzicami a Arlenem, wreszcie z powrotem skupił wzrok na skrzypaczce. Nie mógł uwierzyć, że jest tutaj,

akurat dziś, o tej porze i... że znów gra na piekielnych skrzypcach, których nie cierpiał.

Przez ulice i lokale Nowego Jorku każdego dnia przewijały się miliony osób. Codziennie mijał kogoś innego, codziennie jakaś firma upadała, a inna właśnie się otwierała. Co dzień opowiadano tu różne historie i żadna z nich nie była podobna do innej. A pośród tego wszystkiego, w tym codziennie innym mieście znów trafił akurat na nią.

Koncert dobiegł końca, a po restauracji rozniosły się gromkie brawa. Rudowłosa skrzypaczka kłaniała się z gracją, trzymając za dłoń pianistkę. Kiedy podnosiła z wolna głowę, zerknęła w stronę publiczności i jej oczy zatrzymały się przy jednym ze stolików. Wzrok dziewczyny napotkał ciemne oczy Finna. Szybko odwróciła głowę, nie pozwalając chłopakowi odczytać choćby jednej emocji ze swojej twarzy. Równie szybko, jak odnalazła go spojrzeniem, uciekła ze sceny.

Finn, niewiele myśląc, wstał od stołu i wygładził nerwowo zagięcie na czarnej koszuli.

– Dokąd się wybierasz? – zapytała zaskoczona matka. – Jeszcze nie podano nawet dań, wstrzymaj się.

– Do łazienki – rzucił niedbale. – To pilne. Zaraz wrócę.

*Albo i nie.*

Zignorowawszy rodziców, którzy próbowali go na siłę zatrzymać przy stole, Finn ruszył przed siebie. Szedł żwawym krokiem w kierunku kulis, za którymi zniknęła dziewczyna. Nie wiedział, co miałby jej powiedzieć ani dlaczego właściwie za nią gonił, ale był pewien jednego. Musiał się jej pozbyć z pamięci, wszelkie koszty z tym związane nie były dla niego ważne.

Szedł śladem dziewczyny aż do końca korytarza, gdzie – co zdążył zauważyć – zniknęli przed chwilą muzycy. Stał przed

ostatnimi drzwiami. Nie miał żadnych skrupułów, był gotów je otworzyć, zawołać ją i... Co dalej? Co by jej powiedział?

*Wyprowadź się z mojej głowy! Przestań pojawiać się nieproszona na mojej drodze! Gratulacje, wreszcie znalazłaś odpowiednie miejsce do grania!*

Zanim to wszystko poukładał sobie w myślach, stanął oko w oko z mężczyzną w białej koszuli i czarnym krawacie.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytał tamten z dystansem.

– Potrzebuję zamienić słowo ze skrzypaczką. Powinna być w środku – wytłumaczył pospiesznie Finn, po czym spróbował wyminąć mężczyznę.

Ten jednak zagroził chłopakowi drogę i chwyciwszy go za ramię, odsunął od drzwi. Finn nie miał wątpliwości, że to ochroniarz. Zazwyczaj niechętnie przyznawał się do swojej rodziny. Sądził, że nazwisko, które nosił, było raczej przywarą, a nie przywilejem. To był jeden jedyny raz, kiedy nie wstydził się nim posłużyć.

– Proszę mnie wpuścić. – Odchrząknął, wciąż napierając na rękę ochroniarza. – Jestem synem Marbell Payne-Ward, mam przyzwolenie, żeby tutaj wejść.

Mężczyzna nagle się roześmiał i odepchnął od siebie Finna. Przepychanki się skończyły.

– A ja jestem synem Jade Stalone i nie daję ci takiego przyzwolenia. – Ochroniarz pokręcił głową z rozbawieniem, po czym zerknął na listę występujących, wiszącą na drzwiach. – Nie ma tutaj twojego nazwiska, nie wchodzisz, a twoja matka w niczym ci nie pomoże.

– Moja matka wspiera finansowo te koncerty i należy mi się...

– Posłuchaj, chłopaku. Usłyszę jeszcze słowo albo spróbujesz się znowu wepchnąć, a wyprowadzę cię z lokalu – wycodził. – Nie interesuje mnie żadna Payne-Ward. Nie ma cię na liście, a muzycy teraz odpoczywają.



Finn zastygł w miejscu, szukając w głowie sposobu, który zadziałałby na tego nieugiętego faceta. Gdyby znał nazwisko albo imię, poprosiłby ochroniarza o wywołanie jej z pokoju. Może wiedząc chociaż tyle, nie wyszedłby na kogoś niebezpiecznego, kto zakłóci jej spokój, tylko znajomego, który nalega na spotkanie. Chłopak zacisnął usta w cienką linię i brał jeden za drugim głębokie oddechy.

– Moja matka jest profesorką w Szkole Juilliarda, finansuje te koncerty, dba o muzyków i siedzi właśnie w pierwszym rzędzie przed sceną. Jeśli za moment wrócę do niej i powiem, że ochroniarz muzyków nie zna nawet jej nazwiska, na pewno nie będzie zadowolona. A niech mi pan wierzy, uwielbiają się z tutejszym menadżerem. – Mrużył oczy, wypowiadając każde słowo z najszczerzym przekonaniem.

Oczywiście, że wciskał mu kłamstwa. Jego matka, owszem, była profesorką w Szkole Juilliarda, ale swoich pieniędzy pilnowała jak oczka w głowie. Nie wydałaby ani grosza na muzyków, którzy – jak twierdziła – mieli beznadziejną technikę.

Twarz ochroniarza zaczęła mięknąć, choć wciąż patrzył na chłopaka z góry i zerkał kątem oka na listę z nazwiskami. Finn czuł, że tamten się uginał i niewiele brakowało, aby pozwolił mu wejść do pomieszczenia muzyków. Wymieniali milczące spojrzenia, aż wreszcie tę próbę cierpliwości przerwało mocne szarpnięcie.

– ...na fajkę, zaraz wrócimy! – Finn usłyszał głos dobiegający zza otwieranych z impetem drzwi.

Na progu stanęła ona. Zmora, która nawiedzała go codziennie.

Uśmiechnięta, mówiła coś za siebie, do muzyków za jej plecami, po czym chwyciła pod ramię dziewczynę, która towarzyszyła jej na scenie przy pianinie. Gdy postawiła stopę za progiem, spojrzała w górę. Nad nią znów stał ten piekielnie wysoki, ubrany na czarno chłopak. Spojrzenia Finna i rudowłosej dziewczyny

zatrzymały się na nich nawzajem, wbijając oboje w podłogę. Finn poczuł, jak słowa więzną mu w gardle, nie potrafił wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

*No, wykrztuś coś, kretynie. Zatrzymaj ją.*

Dziewczyna przełknęła ślinę i zerknęła na swoją koleżankę, która odpowiedziała pytającym spojrzeniem.

– Zaraz do ciebie dołączę.

– Hej, posłuchaj... – zaczął Finn.

Zmarszczyła brwi.

– Co ty tutaj...?

– Zna go pani? – wtrącił się ochroniarz. – Podobno ma tutaj jakieś przyzwolenie – dodał prześmiewczo.

– Całe szczęście nie do końca.

Rudowłosa chwyciła chłopaka mocno za rękaw i pociągnęła go za sobą, by oddalić się od ochroniarza. Kiedy się upewniła, że są wystarczająco daleko i na uboczu, puściła Finna i ze wściekłością spojrzała mu w oczy. Z takim żarem, jakby tliła się w niej od kilku dni.

– Co tutaj robisz i dlaczego znowu cię spotykam? Śledzisz mnie? – parsknęła nerwowo.

Finn z otwartymi ustami szukał w głowie jakiegoś wyjaśnienia. Poprawił czarną grzywkę, która opadła mu na oczy, i powiedział:

– Możemy porozmawiać?

– Jakbyśmy właśnie tego nie robili – prychnęła. – Co tym razem chcesz mi powiedzieć? To też nie jest dobre miejsce na grę?

– Ładnie grasz – wypalił. – Znaczy... poważnie, masz dobrą technikę i trafiasz we wszystkie dźwięki.

– Bardzo zabawne. – Zaśmiała się gorzko. – Ostatnim razem usłyszałam od ciebie coś innego. Skąd ta nagła zmiana?

Jej płonące wściekłością oczy, przypudrowane policzki, marszczący się nos i grymas na twarzy... Finn był pewien, że teraz ten obraz jeszcze mocniej zapadnie mu w pamięć.

– Posłuchaj, ja... – Wypuścił gwałtownie powietrze. – Przepraszam, okej? Nie chciałem zepsuć twoich skrzypiec i nie potrafię trzymać języka za zębami. Mogłem już wtedy po prostu cię przeprosić, zamiast powiedzieć to, co powiedziałem.

Dziewczyna pociągnęła nosem i na moment spuściła wzrok.

– Super. – Wzruszyła ramionami. – Ale wiesz, całkiem szczerze, mam gdzieś twoje przeprosiny. Są trochę przeterminowane.

Gdy uniosła z powrotem wzrok, na jej twarzy błąkał się cień uśmiechu.

– Jasne. Rozumiem. – Finn pokiwał głową. – Żaden dupek nie zasługuje na drugą szansę.

Próbowała walczyć z tą iskierką radości, która rozpalala się w jej sercu. Absurd, chłopak, który zabrał jej uśmiech na parę ostatnich dni, odnalazł ją pośród miliona ludzi w Nowym Jorku tylko po to, by ją przeprosić. Nie wiedziała, że Finn również uznawał to za nieprawdopodobne. Nigdy wcześniej nikogo nie przeprosił. Choć nieraz miał się za winowajcę, nigdy nie czuł się z tym epitetem podobnie beznadziejnie jak teraz.

– Nawet na tę pierwszą – dopowiedziała niemal szeptem. – To wszystko? Spieszę się, mam za moment występ i zależy mi na tym, żeby się nie spóźnić na ponowne kaleczenie twoich uszu.

– Chcę odkupić ci skrzypce – powiedział, na co od razu pokręciła głową. – Wpiszesz mi swój numer albo zostawisz adres, żebym mógł wysłać ci nowe? – dodał niepewnie, widząc, że na każde jego słowo dziewczyna reaguje coraz to większym niezadowoleniem.

– Nie chcę od ciebie ani grosza, tym bardziej żadnych skrzypiec.

Zmarszczył brwi. Kompletnie jej nie rozumiał.

– Dlaczego nie?

– Bo nie. – Wzruszyła ponownie ramionami. – Już zdążyłam kupić sobie nowe. A jeśli naprawdę chcesz coś dla mnie zrobić, to

postaraj się, żebym już więcej na ciebie nie wpadła. Wtedy będę o nie spokojniejsza.

Kręciła głową na każde jego słowo, nie patrząc mu w oczy. Stała ze wzrokiem utkwionym w swoich szpilkach, które zapewne szykowały się do jak najszybszej ucieczki.

Po ciele Finna rozlało się uczucie zawodu, jednak szybko się z niego otrząsała. To tylko irytująca skrzypaczka, która nie rozdała ani pierwszych, ani drugich szans, a poza tym szybko i bez przerwy się złości. Nie była nikim wartym jego uwagi. Zresztą tego właśnie chciał. Pragnął, aby nareszcie opuściła jego głowę i pozwoliła o sobie zapomnieć. Zatem niczego nie tracił, prawda?

Przecież nawet nie znał jej imienia.

– Rozumiem. – Odchrząknął, gdy ona jeszcze raz popatrzyła mu w twarz, zanim odeszła. – W takim razie... miłego życia?

Przewróciła oczami i parsknęła cicho.

– Miłego.

Zielone oczy spojrzały na niego po raz ostatni i dziewczyna się oddaliła. Po chwili zniknęła za drzwiami.

# PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

**Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!**

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA  
**Helion** 



## melodia utraconych skrzypiec

Finn Ward od zawsze miał poczucie niedopasowania. Nie tylko dlatego, że w przeciwieństwie do brata bliźniaka nie odziedziczył po przodkach blond czupryny i jego włosy były czarne jak smoła. Także – a może przede wszystkim – z powodu niespotykanego w tej rodzinie braku talentu do muzyki. Więcej, on jej szczerze nie znosił. Do tego w szkole nie był prymusem i ciągle wpadał w kłopoty. Czarna owca, rozczarowanie – chłopak doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co myślą o nim rodzice, oboje wykładowcy w najbardziej prestiżowej szkole muzycznej w Nowym Jorku.

Nic dziwnego, że Finneas Ward nienawidził muzyki. Nic dziwnego, że był taki, jaki był. Zimny. Obojętny. Niedobry. Do czasu, aż pewnego zupełnie zwyczajnego dnia spotkał w nowojorskim metrze rudowłosą, zielonooką dziewczynę, która grała na skrzypcach. Niechcący, popchnięty przez napierający na niego tłum, zniszczył bliski sercu Cynthii instrument. I po raz pierwszy od bardzo dawna poczuł wyrzuty sumienia. A potem spotkał ją ponownie. I ponownie. I znów...

Wreszcie Cynthia zgodziła się, by Finn wynagrodził jej stratę. Jednak zamiast nowego instrumentu zażądała, by chłopak spełnił listę jej życzeń...

beyA 16+  
beyA.pl

